

Jan W a l k u s z, *Polonia i parafia Matki Boskiej Częstochowskiej w London, Ontario*, Lublin: Instytut Badań nad Polonią i Duszpasterstwem Polonijnym KUL 2007, ss. 640.

Nasza ludzka historia to niemożliwy do ogarnięcia gąszcz wydarzeń zarówno wielkich i dramatycznych, które wstrząsnęły światem, ale też nieco mniej znanych czy wręcz lokalnych. Tymi pierwszymi zajmują się liczne i wyspecjalizowane zespoły badawcze próbujące wydrzeć z mroków przeszłości nowe fakty czy powiązania, widząc w tym swoją głęboką misję, bo przecież historia to nasza *magistra vitae*. Liczni amatorzy śledzą te wysiłki z zainteresowaniem, choć niekoniecznie wierząc w nauczycielską rolę historii. Życia, jak wiadomo, trudno nauczyć się z książek – uczy się go najskuteczniej używając podejścia, nazywanego w naukach ścisłych metodą prób i błędów. Wartość największą mają oczywiście błędy własne. Do książek historycznych sięga się raczej dla rozrywki i intelektualnej przygody, bo fascynujących zdarzeń nigdy tam nie zabraknie. Istnieją co prawda znakomici badacze wydarzeń lokalnych, o mniejszym zasięgu przestrzennym czy czasowym, działający zgodnie z dewizą ze znanych „Dezyderatów”, którą można by lekko sparafrazować jako „wysłuchaj innych, nawet najmniejszych, oni też mają swoją opowieść” Takie prace nie wywołają globalnego poruszenia, nie sprowokują recenzji w najpoczytniejszych dziennikach ani nie staną się sensacją rynku wydawniczego. Zawsze jednak znajdują grupę wiernych czytelników, którzy z wypiekami na twarzy śledzić będą każdą myśl, analizować najdrobniejsze fakty i wytykać nawet nieistotne przeoczenia. Autor może liczyć na niewyczerpaną wdzięczność tego audytorium, ale nigdy na odrobinę wyrozumiałości. Ten krótki szkic będzie prawdopodobnie typową egzemplifikacją takiej postawy.

Dla osób wierzących szczególne znaczenie ma historia Kościoła katolickiego – przecież to nic innego jak opis naszej drogi do Boga. Każdy z nas ją ma, a przynajmniej powinien mieć, ale trudno byłoby Boga znaleźć w pojedynkę. Możliwe jest to praktycznie w społeczności, czyli najczęściej w parafii, zakonie czy grupie modlitewnej. W pewnym sensie więc historia Kościoła to suma historii parafii, stąd także ważne są badania nad dziejami takich ośrodków. W wielu parafiach takie opracowania powstały i są one źródłem uzasadnionej dumy księży i parafian, nawet jeśli są to przedsięwzięcia amatorskie, szkicujące zaledwie problem i wydane w szacie więcej niż skromnej. Na tym tle historia polonijnej parafii Matki Boskiej Częstochowskiej w London, Ontario, napisana przez księdza profesora Jana Walkusza z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, jest wyróżniającym się wyjątkiem.

Nie będzie wcale przesadą stwierdzenie, że większość parafii w Polsce ma historię niezbyt zajmującą, czasem wręcz nudną, z pewnymi wyjątkami oczywiście. Najczęściej sieć parafialna jest dość statyczna, od czasu do czasu nowa parafia powstaje przez podział innych, co jest zazwyczaj inicjowane przez miejscowego biskupa. Później już tylko spokojny rytm budowy obiektów sakralnych, zmiany proboszczów, biskupich wizytacji, pierwszych komunii i bierzmowań. Tak było przez ostatnie kilkadziesiąt (lub kilkaset) lat i tak będzie przez następnych kilkadziesiąt czy kilkaset. Historia zasygnalizowanej tu parafii jest inna, bo mamy tu do czynienia z zupełnie odmienną dynamiką. Parafia powstała niedawno, bo dopiero po II wojnie światowej, gdy większa grupa naszych rodaków nagle znalazła się na zupełnie innej „ziemi obiecanej”. Jej powstanie nie było takie oczywiste i wymagało wiele starań oraz wyrzeczeń. Apogeum swojego rozwoju osiągnęła po fali tzw. solidarnościowej emigracji i już obecnie można bez trudu zauważyć pewne spowolnienie aktywności. Nie trzeba być prorokiem, aby przewidzieć, że po następnych kilkadziesiąt latach z polskości tej parafii mogą pozostać jedynie: nazwa (Our Lady of Tchenstohova), „pierogies” na pikniku parafialnym i „Zdrovash Marya” odmawiane po mszy świętej (odprawionej w języku angielskim) w rocznicę założenia parafii. Dlatego też inicjatywa napisania historii polonijnej parafii w London, Ontario, była więc bardzo na czasie, zanim najważniejsza część tej społeczności nie przeniesie się za bramę cmentarza św. Piotra, a wyblakłe dokumenty ulegną rozproszeniu lub wręcz zniszczeniu. Wtedy byłoby już za późno i nawet taki ekspert od historii Kościoła, jak ks. prof. Walkusz, niewiele by tu zdziałał. „Spieszmy się kochać” polonijne parafie, tak szybko odchodzą...

Oprócz znaczenia lokalnego recenzowana tu książka zawiera też przesłanie bardziej uniwersalne: podobnie toczyły się bowiem losy setek innych skupisk emigracyjnych Kanady, Stanów Zjednoczonych, Australii, Brazylii i innych krajów. Nikt nie ocali od zapomnienia ich wszystkich. Mając jednak to jedno opracowanie, łatwo sobie będzie wyobrazić co mogło się dzieć w innych miejscach.

Historia polskiego kościoła i parafii jest ściśle związana z historią polskiej grupy etnicznej w London. Niektóre organizacje polonijne akcentowały to bardziej (np. Polskie Stowarzyszenie Kombatantów), inne mniej (np. Polski Klub Dyskusyjny). Te same osoby były najczęściej aktywne w wielu dziedzinach (chciałoby się napisać „działały na wielu frontach”, ale licznym jeszcze weteranom wojennym front kojarzy się z czymś zupełnie innym) i dlatego godnym pochwały jest rozszerzenie formuły książki przez włączenie całej Polonii, a nie ograniczenie się tylko do przestrzeni parafii. Szczególnie, że organizacje pozaparafialne mogłyby sobie tylko pomarzyć o równie szczegółowym i barwnym opisie.

Chociaż Polacy są obecni w London od ponad stulecia, nie pojawili się oni tam od razu jako zwarta i zorganizowana grupa. Fenomen kanadyjskiego Wilna czy Panny Marii z Teksasu, gdy duchowny towarzyszył polskim emigrantom od ich początków, czy wręcz z nimi przyjechał, wymagał szczęśliwego splotu wielu okoliczności. Polska populacja w grodzie nad ontaryjską Tamizą wzrastała w liczbę powoli i wszystko wskazuje na to, że emigracja ta miała podłoże ekonomiczne. To zwykle powoduje mniejszą aktywność społeczną, zamykanie się w swoistym gettcie i łatwiejszą akceptację statusu obywateli „drugiej kategorii”. Tym godniejsze uwagi były więc

inicjatywy zmierzające do utrzymania polskości w okresie międzywojennym: utworzenie polskiej szkoły czy założenie polonijnej organizacji. Polska społeczność w London zaistniała na dobre za sprawą Jałty: żołnierzom armii polskiej na Zachodzie, ich rodzinom i innym uchodźcom wszelkiego autoramentu bardziej odpowiadała perspektywa niewolniczej pracy na kanadyjskich farmach i w kanadyjskich fabrykach, niż powrót do ojczyzny świeżo przygarniętej pod czujną opiekę „wielkiego brata”. Nowi przybysze byli jednak nie tylko bardziej liczni, choć *net Hercules contra plures*, ale też bardziej hardzi. Weteranom Tobruku, Monte Cassino i wielu innych najgorętszych miejsc II wojny światowej nie było łatwo powiedzieć „nie”, gdy domagali się mszy w swoim języku i własnego miejsca na jej sprawowanie. Biskup londyński nie przepuścił żadnej okazji, aby upewnić się o słuszności swojej decyzji (taka była zresztą oficjalna polityka etniczna amerykańskiego i kanadyjskiego episkopatu), ale w końcu uległ. Stosunek kanadyjskich proboszczów z sąsiednich parafii też był, używając eufemizmu, niezbyt przyjazny.

Budowa pierwszej świątyni to czas niebywałego entuzjazmu i niespotykanej już dziś ofiarności. Jeden z najbardziej zasłużonych londońskich weteranów, który spędził na różnych frontach praktycznie cały czas wojny, oddał bez wahania całe swoje oszczędności, kwestował w niedziele, zbierając fundusze wśród polskich rodzin (i nie tylko), a na budowie spędzał większość wolnego czasu. Pod koniec życia niewiele wspominał Monte Cassino, choć był tam w samym sercu bitwy. Miękł za to, gdy wyciągał poźółkłe zdjęcie parafialnego Komitetu Budowlanego. To była jego święta relikwia. Nie doczekał ukazania się tej książki, podobnie zresztą jak wielu innych świadków tamtych czasów. Ich wspomnienia stanowią jednak ważne źródło wykorzystane przez ks. prof. Walkusza. Jeszcze parę lat i nie byłoby kogo pytać, a w tamtych czasach nie przywiązywało się zbyt dużej wagi do kompletowania dokumentacji.

Drugim krytycznym momentem w historii parafii były lata osiemdziesiąte. Polacy w London praktycznie przestaliby się liczyć jako mniejszość narodowa, gdyby nie nowa fala nazywana umownie emigracją solidarnościową. Tysiące rodaków wegetujących w obozach Zachodniej Europy marzyło o wyjeździe do Kanady, ale kanadyjski rząd warunkował to wieloma wymogami. Między innymi potrzebny był sponsor biorący na siebie pełną odpowiedzialność za nowo przybyłych przez pewien okres. Dla wielu tysięcy polskich emigrantów mężem opatrnościowym stał się proboszcz londońskiej parafii. Dziesiątkami nosił wypełnione dokumenty do Biura Imigracyjnego. Tym, już będącym w Kanadzie, ale bez prawa stałego pobytu, pomagał dotrzeć do kanadyjskiego konsulatu w Detroit, gdzie mogli dopełnić formalności. Nie wiem, czy wszystkie działania księdza były w pełni zgodne z prawem. Tajemnicą bowiem poliszynela jest, że niektórzy urzędnicy imigracyjni nie do końca je popierali. Proboszcz uważał jednak, że miłosierdzie powinno być ponad prawem, zgodnie z ewangeliczną zasadą: „byłem przybyszem, a przyjęliście Mnie”, „cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych moich braci, Mnie uczyniliście”. Czy może być piękniejszy wzór postawy katolickiego księdza?

Dzieło napisane przez ks. prof. J. Walkusza zadziwia bogactwem zgromadzonego materiału. Mozolna kwerenda w różnych archiwach, bogata bibliografia, dziesiątki wywiadów, uporczywa weryfikacja, często sprzecznych informacji, powodują, że

wiele dowiadują się z tej książki nawet sami bohaterowie opowieści. Dzieło ma niewątpliwie charakter naukowy, lecz nie można mu odmówić również walorów literackich. Herbert w wierszu „Sztukatorzy” sprowadził do absurdu opinię, że sztuka nie ma obowiązku zajmować się prawdą, pisząc „nie jest rzeczą sztuki szukać prawdy, to jest rzecz nauki” Ks. Walkusz dowiódł – nie po raz pierwszy zresztą – że naukowa książka historyczna może być napisana pięknym i bogatym językiem, czyli że jest też, w pewnym sensie, dziełem sztuki.

Godnym uznania jest sposób w jaki autor potraktował dość liczne w parafii i innych organizacjach konflikty. Powszechnie wiadomo, że nie jesteśmy narodem potulnych baranków (czy w ogóle są takie?) i o byle głupstwo potrafimy skoczyć do oczu zarówno wielkim tego świata, z czego jesteśmy dumni, jak i sobie nawzajem. W tych sytuacjach ks. Walkusz zastosował genialne rozwiązanie: nagle zmienił perspektywę czasową i opisał je tak, jakby zdarzyły się parę stuleci wcześniej. Wszystko wydaje się wtedy niewiele znaczącym incydentem, zasługującym co najwyżej na parę linijek pobłażliwej relacji, a czasem wręcz nie jest godne żadnej wzmianki.

Było jeszcze jedno „pole minowe” przy pisaniu tej książki. Pracownicy nauki „od zawsze” byli wrażliwi na punkcie niezależności swoich badań. Powstała instytucja stałych kontraktów (*tenure*), która w wielu krajach uczyniła badaczy nieusuwalnymi i niezależnymi od władz politycznych czy nacisków grupowych (nawet w Polsce Ludowej profesora uniwersytetu mógł zwolnić z pracy tylko minister). Zagrożenie oficjalnie, i z wielkim szumem usunięte frontowymi drzwiami, wróciło cicho, nie zwracając niczyjej uwagi, drzwiami kuchennymi. Wiadomo, że badania naukowe kosztują, a pieniądze mogą bardziej uzależnić niż naciski polityczne. Parę lat temu najlepsza szkoła medyczna w Kanadzie, na uniwersytecie w Toronto, po długim konkursie wybrała kandydata na wakujące stanowisko profesora. Już po oficjalnej akceptacji oferty okazało się, że kandydat odkrył poważne skutki uboczne lekarstwa, produkowanego przez pewną firmę farmaceutyczną. Pechowym zbiegiem okoliczności ta firma znacząco wspomagała finansowo cały wydział. Nominację odwołano mimo pewności, że spowoduje to długi (i kosztowny) proces sądowy. Ostracyzm środowiska naukowego okazał się mniejszy niż można by się tego spodziewać – widać zdarzenie nie było aż tak odosobnione. Inny przykład, parę miesięcy temu po nieszczęśliwej śmierci naszego rodaka na lotnisku w Vancouver, gdzie użyto paralizatora elektrycznego, pojawił się artykuł jednego z ekspertów dowodzący, że paralizator nie jest w stanie nikogo zabić. Tylko dociekliwi dziennikarze odkryli, iż badania przeprowadzono na zlecenie firmy produkującej paralizatory. W przypadku omawianej tu książki rzeczą wiadomą jest, że jej sponsorem była parafia Matki Boskiej Częstochowskiej w osobie jej proboszcza. Wyobrażam więc sobie, jak łatwo można było zrobić z całego wydawnictwa przesłodzoną bogoojczyźnianą laurkę dla niego. Deprecjonowałyby to naukowy charakter książki, zniechęcało czytelników i w efekcie szkodziło samemu zainteresowanemu. Autor wyszedł z tej delikatnej sytuacji obroną ręką. Opisując w szczegółach dokonania, wpisał je w kontekst ludzkich przywar, czy wręcz oczywistych słabości (*vide* przykład rozmowy z biskupem o pierwszej nominacji na probostwo).

Nasze duchowieństwo ciągle żyje jeszcze w trochę innym świecie: trudno świeckim zrozumieć codzienne problemy księży, tak jak księżom niełatwo zrozumieć nie-

które problemy świeckich. Dzięki temu, że praca ta powstała w wyniku ścisłej współpracy dwóch księży, mamy w efekcie opisy ciekawych zdarzeń, pozwalające zerknąć za ten mur. Czy historia o malowaniu plebanii przez wikarego podczas nieobecności proboszcza nie przypomina czegoś tym żyjącym w małżeństwie? Można się domyślać, że takich sytuacji było więcej. Niektórzy starsi parafianie pamiętają zresztą przypadek, gdy pewna grupa parafialna musiała czekać na wyjazd proboszcza, aby wikary mógł wyrazić zgodę na ich formalne zaistnienie.

Pisanie historii współczesnej jest zazwyczaj ewidentnym „ustawianiem się do bicia” Co gorsza, nawet postawa ewangeliczna niewiele tu pomaga: nie wystarczy nadstawić drugi policzek, gdyż trzeba by tych policzków mieć dziesiątki. Nie twierdę, że książka ta jest dziełem idealnym. Istniały efemerydy, które nie pozostawiły praktycznie żadnej dokumentacji, albo dotarcie do niej było niemożliwe (na przykład Klub Inteligencji Katolickiej). Można dyskutować, czy proporcje tekstu poświęconego różnym zdarzeniom, czy organizacjom, odpowiadają ich rzeczywistemu znaczeniu. Można mieć również zastrzeżenia do reprezentatywności umieszczonych zdjęć. Ewentualnym „krakaniom” różnych krytyków łatwo jednak zamknąć usta tylko jednym argumentem: znajdźcie lepiej napisaną pracę tego typu.

*Kazimierz Adamiak*

*Western Ontario University, London*